Chłopska wiosna

NR. 4
ROK I

TREŚĆ NUMERU:

Chłopska wiosna

Czasopismo Społeczno-Literackie
Akademicki Organ Młodej Wsi

ROK I PAŹDZIERNIK – LISTOPAD 1938 R. NR. 4

* * *

Dwadzieścia lat budowania i utrwalania Wielkiej Mocarstwowej Polski, tyleż lat uporczywej walki, zawziętej pracy na wszystkich odcinkach życia narodowego. Zorganizowanie życia państwowego, połączenie się ziemi Zaolzańskiej z Macierzą, stworzenie szkolnictwa, niezwyciężona armia — chluba nasza, Gdynia, C. O. P. — oto słupy graniczne w etapach pracowitego dążenia, to potężny manifest twórczej woli zbiorowej narodu.

Narody i państwa na linii rozwoju swego dochodzą stopniowo do punktu kulminacyjnego. Jakież cele nam winny przyświecać? Nie wystarczy program polityczny i gospodarczy obliczony na bieżące potrzeby i kłopoty, nie wystarczy szermowanie ogólnikowym pojęciem— wolności obywatelskiej, która się rozciąga od anarchizmu do totalizmu, za wąskie staje się hasło „mocarstwowości", jeśli nie wiadomo czyjej siły ma on być wyrazem. Polska opierając się na powyższych zadaniach, jako elementach swej siły — musi się stać demokratycznym państwem nowożytnym przez szerokie urzeczywistnienie sprawiedliwości społecznej, bez poniżania i ujarzmiania człowieka.

Dwadzieścia lat mija, jak w huku armat, w potoku krwi rodziła się Polska. Obrona Lwowa przez młodych akademików, „Cud Wisły", gdzie chłop murem piersi bronił swojej stolicy — to najgłębszy romantyzm młodej krwi chłopskiej, najprawdziwszy patriotyzm klasy najwięcej w państwie upośledzonej.

Dwudziestolecie niepodległości naszej jest etapem w rozwoju i odradzaniu się Polski. Pionem moralnym i ustrojowym państwa w dalszym dążeniu musi być idea sprawiedliwości społecznej, wynikająca z ducha i praw obywatelskich najliczniejszej warstwy narodu polskiego.

Kazimierz Maj

Rola inteligencji chłopskiej w życiu narodu

Rozwój wsi polskiej pozostaje w ścisłym związku z zagadnieniem inteligencji chłopskiej.

Ruch Młodowiejski rozwiązuje to zagadnienie praktycznie i teoretycznie. Drogą propagandy, informacyj, zwoływania zjazdów maturzystów, wykazywania potrzeb — zachęca synów chłopskich do studiowania na wyższych uczelniach. Akademicy chłopi organizują się w Koła Akademickie Młodej Wsi, które stanowią samorodne ogniwa narastającej inteligencji chłopskiej.

Założenia teoretyczne zagadnienia krystalizują się obecnie w Polsce w szeregu artykułów, rozrzuconych po czasopismach i książkach. Najlepszym znawcą tego zagadnienia w Polsce jest kol. Kazimierz Maj, który je rozwinął w szeregu artykułów w „Siewie Młodej Wsi“ (Nr 39—52, rok 1935), a następnie w książce, wydanej w rok później p.t. „Ruch Młodzieży Wiejskiej jako postępowy ruch chłopski“ Omówił w niej rolę inteligencji chłopskiej, powrót inteligencji na wieś, przyczyny wysferzania się wielu chłopskich inteligentów, warunki wzrostu inteligencji chłopskiej itp. Rozważa to zagadnienie również kol. Gierat w swej książce „Podstawa Ruchu Młodowiejskiego“, gdzie wykazuje potrzebę powrotu na wieś inteligencji chłopskiej. Artykuł p.t. „Organizacja inteligencji wiejskiej“ kol. Marca ukazał się w „Przodowniku Wiejskim“ Nr 8—9 1937 r., w którym autor zastanawia się, z jakim ruchem winna się wiązać inteligencja chłopska.

Artykuł poniższy kol. Maja traktujemy jako wprowadzający w głąb omawianego zagadnienia, które w następnych Nr. „Chłopskiej Wiosny“ zostanie możliwie wszechstronnie i gruntownie omówione. Materiały i głosy dyskusyjne, pogłębiające ten problem zasadniczy, prosimy kierować do red. „Chłopskiej Wiosny“.

Red.

I.

Drugą połowę ubiegłego wieku uznać trzeba za okres, w którym zaczęła powstawać inteligencja chłopska. Wiąże się to z faktem reform agrarnych. Uwłaszczenie chłopów stanie się podstawą emancypacji społecznej i kulturalnej chłopów.

Pierwsi inteligenci chłopscy, to prawie wyłącznie księża i nauczyciele szkół powszechnych. W miarę postępu procesu emancypacji wsi, zjawią się inteligenci chłopscy i w innych zawodach, a więc w zawodzie adwokatów, urzędników państwowych i komunalnych, sędziów, inżynierów, lekarzy, nauczycieli szkół średnich i akademickich. W pierwszym etapie rozwoju inteligencji chłopskiej obserwujemy zjawisko, że chłopi kierują swoją młodzież przede wszystkim do szkół, które nie są drogie. Ukończenie zakładu kształcenia nauczycieli czy seminarium duchownego odpowiadało możliwościom ekonomicznym wsi i właśnie w dużym stopniu dla tych przyczyn chłopi do tych zawodów kierowali swą młodzież. Jeżeli chodzi o zakłady kształcenia nauczycieli, to na wybór tych szkół wpływało również ich terytorialne rozmieszczenie: były one zakładane na wsi i w małych miasteczkach.

Postęp w życiu ekonomicznym wsi, który dokonuje się na po-

czątku bieżącego stulecia, sprawia, że chłopi będą kształcić swą młodzież i w uczelniach akademickich. W Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie studiuje przed wojną dosyć dużo młodzieży chłopskiej. W literaturze pięknej poczet chłopskich nazwisk w epoce pouwłaszczeniowej rozpoczynają: Reymont, Kasprowicz, Orkan. W muzyce, malarstwie, rzeźbie, teatrze nie mamy chłopów. „Janki Muzykanty" i „Antki" nie mogą dotrzeć dotychczas do tych dziedzin twórczości kulturalnej. Zjawisko to pozostaje niewątpliwie w związku z warunkami ekonomicznymi życia społeczeństwa chłopskiego i uprzedzeniami samej wsi do tych zawodów.

W Polsce niepodległej w latach lepszej sytuacji ekonomicznej wsi zwiększył się wybitnie procent młodzieży chłopskiej w szkołach średnich i uczelniach akademickich. W pierwszych latach niepodległego bytu powstaje też zorganizowany ruch chłopskiej młodzieży akademickiej. Pierwszą organizacją chłopskiej młodzieży akademickiej jest Zrzeszenie Akademickiej Młodzieży Ludowej, które zostało założone w jesieni 1919 r. Była to organizacja ideowo - wychowawcza, stojąca na gruncie chłopskiej, postępowo - demokratycznej ideologii. Drugą organizacją pod względem czasu powstania była Polska Akademicka Młodzież Ludowa.

W okresie kryzysu gospodarczego spadła w sposób katastrofalny liczba młodzieży chłopskiej kształcącej się w szkołach średnich i uczelniach akademickich. Do tego stanu rzeczy przyczynia się też kryzys szkolny. Na wsi trzy czwarte młodzieży kształci się w szkołach powszechnych niższego stopnia organizacyjnego: ze szkół tych nie można się dostać do szkół średnich. Z najnowszej statystyki szkolnej wynika, że liczba młodzieży chłopskiej w szkołach średnich i uczelniach akademickich ciągle się zmniejsza. Te fakty muszą niepokoić poważnie każdego, kto zdaje sobie sprawę z roli, jaką ma do spełnienia w życiu wsi, narodu i państwa inteligencja chłopska.

II.

Naród nasz, gdy chodzi o strukturę socjalną, jest blisko w trzech czwartych narodem chłopskim. W ideologii jednak narodu naszego i kulturze polskiej przeważają pierwiastki szlachecko - ziemiańskie i burżuazyjno - mieszczańskie. Porządek społeczno - polityczny i ekonomiczny panujący w przeszłości sprawił, że szlachta i kler były tymi grupami społecznymi, które stanowiły podmiot narodu, państwa i kultury. W dziewiętnastym wieku, a więc już za czasów niewoli politycznej narodu, tworzy się burżuazja mieszczańska, która również zaważy na rozwoju ideologii narodu i jego kultury. Następstwem takiego właśnie układu sił społecznych jest szlachecko - ziemiańska i burżuazyjno - mieszczańska ideologia naszego narodu ze swoimi zgubnymi konsekwencjami w dziedzinie stosunków politycznych, ekonomicznych i kulturalnych.

Droga rozwoju naszego narodu i jego kultury prowadzi przez wieś. Instynkt narodowy i państwowy nakazuje nam świadomie dą-

żyć do schłopienia Polski, co rozumieć trzeba jako proces prowadzący do tego, że chłopi, ta najliczniejsza grupa społeczna, staną się podmiotem państwa, narodu i kultury. Jest to prawda, którą, jak to już zaznaczyłem, dyktuje nam nasz instynkt samozachowawczy.

Mówi się w Polsce o potrzebie spotęgowania nacji polskiej. Jest to idea słuszna. Ale jakże ona wygląda w praktyce? Kastet, sztylet, żyletka, łomy żelazne, kamienie do wybijania szyb — oto środki, którymi pewne grupki polityczne chcą odradzać naród. Droga rozwoju nacjonalizmu polskiego leży gdzie indziej. Kołtuńska, otumaniona młodzież mieszczańska nacjonalizmu polskiego nie stworzy. Nie stworzy go też ginący świat obszarniczo - ziemiański i zawsze kosmopolityczni kapitaliści przemysłowi.

Nacjonalizm polski w znaczeniu właściwym stworzyć może tylko chłop. I tu właśnie widzimy rolę inteligencji chłopskiej jako czynnika, który przewartościuje duszę narodu polskiego, który przewartościuje kulturę polską. Takie jest prawo bytu i rozwoju narodu. Potwierdzenie wartości tego prawa obserwujemy na przykładzie chłopskich państw nadbałtyckich i innych. Oczywiście, ażeby taką drogę rozwoju naszego narodu i państwa stworzyć, trzeba obok reform społeczno - ekonomicznych i politycznych otworzyć na oścież wrota pochodowi chłopów do wiedzy i kultury. Naturalnie, że to nie będzie jeszcze wszystko.

Rolę czynnika, który dokona schłopienia Polski — a przez to i jej odrodzenia w tym znaczeniu, jak przedstawiam, może spełnić tylko właściwy typ inteligencji chłopskiej. Walka o ten typ — to jedno z głównych zadań chłopskiej młodzieży akademickiej.

Rudolf Dąbrowski

Możliwości zatrudnienia chłopów, kończących studia wyższe

ROLNICTWO I OŚWIATA ROLNICZA

W rolnictwie, mimo trwającego zastoju, a nawet kryzysu, znajdujemy duże możliwości zatrudnienia chłopów z dyplomami, absolwentów szkół agronomicznych, i to nie tylko w pracy nad uprawą roli, choć i tu jest bardzo wiele do zrobienia, ale przede wszystkim w oświacie rolniczej, w przemyśle przetwórczym i handlu produktami rolnymi. Utarło się fałszywe mniemanie, że w miarę kurczenia się większej własności i w miarę postępu akcji parcelacyjnej, zmniejszają się także możliwości zatrudnienia inżynierów rolników. Ale spójrzmy na rzeczywistość, która wprost krzyczy, że stan rolnictwa jest fatalny, że produkcja zbóż z hektara nie wzrasta i pod tym wzglę-

dem stoimy w ogonku za innymi państwami, posiadającymi gorszą glebę i często gorsze położenie wewnętrzne.

Posiadamy już potężne organizacje rolnicze jak Centralne Towarzystwo Organizacyj i Kółek Rolniczych, Izby Rolnicze, które zatrudniają wielu inżynierów - rolników. Należałoby zrobić statystykę, ilu z tych inżynierów jest synami chłopów, a ile miejsc można by jeszcze obsadzić. A dalej: 208 powiatów w Polsce posiada instruktorów rolniczych, a z tych zaledwie kilkudziesięciu posiada ukończone wyższe studia rolnicze. Uważamy przeto, że na stanowiskach instruktorów rolnych winni się znaleźć inżynierowie - rolnicy i to pochodzenia chłopskiego.

Statystyka mówi, że instytucje takie jak Ministerstwo Rolnictwa, Państwowy Bank Rolny, Wydziały Rolnictwa przy Urzędach Wojewódzkich zatrudniają niecałe 5% synów chłopskich. Jest to zjawisko bardzo niekorzystne, jeśli chodzi o reprezentowanie gospodarcze wsi. Na stanowiskach instruktorów rolnych oraz w wyżej wymienionych instytucjach znaleźlibyśmy miejsc na 2 tysiące chłopów, inżynierów - rolników.

Wieś musi stworzyć własny przemysł przetwórczy, zorganizować małe, ale bardzo intensywne ośrodki kultury rolnej i ogrodniczej, oraz ruszyć handel produktami rolnymi, dzięki czemu możliwości zatrudnienia wzrosną do liczby kilku tysięcy inżynierów - chłopów, którzy będą podnosili wieś na wyższy poziom gospodarczy.

LEKARZE I OŚRODKI ZDROWIA.

Niemniejszą bolączką wsi jest stan zdrowotny i higieniczny wsi. Pamiętajmy o smutnej wymowie cyfr: Polska w statystyce ilości lekarzy na daną ilość mieszkańców zajmuje w świecie **dwudzieste miejsce!** W to wliczono już miasta, gdzie lekarzy jest dużo, ale ilu lekarzy posiada wieś?

Są takie dzielnice Polski, że jeden lekarz przypada na 126 kilometrów kwadratowych i na 26 tysięcy mieszkańców!

Jakaż dysproporcja między miastem a wsią; gdy np. w Warszawie przypada 440 mieszkańców na jednego lekarza.

Ogólna liczba lekarzy i dentystów wynosi w Polsce około 15 tysięcy. Zwiększając ich ilość, moglibyśmy dojść do skromnej liczby 50 tysięcy lekarzy i dentystów, a wówczas stanęlibyśmy na trzecim lub czwartym miejscu w świecie, posiadając 1 lekarza na 700 mieszkańców.

Dla chłopów, którzy by pragnęli obrać zawód lekarza, czy dentysty, otwierałyby się tu bardzo szerokie widoki. Jednak na tej drodze są przeszkody wprost nie do pokonania. Studia lekarskie są bardzo długie (5 do 6 lat) i bardzo drogie, a co najważniejsza ogranicza się ilość miejsc tak, że rocznie kończy medycynę 500 do 600 studentów, a w tym chłopów niecałe 3%.

Trzeba naprawić tę krzywdę i udostępnić młodzieży chłopskiej studia medyczne, ustanawiając stypendia państwowe i samorządowe.

Zatrudnienie znajdą lekarze pochodzenia chłopskiego osiadając w miasteczkach, większych wsiach oraz w tworzonych spółdzielniach zdrowia, które wieś zaczyna organizować.

ELEKTRYFIKACJA WSI.

Słabo postępuje elektryfikacja wsi, ale słyszymy o budowie zapór w Róźnowie i Porąbce, które mają dostarczyć energii elektrycznej całej Małopolsce i Centralnemu Okręgowi Przemysłowemu. Ponad to w projekcie są przewidziane budowy turbin rzecznych, które dostarczyłyby prądu nie tylko miastom i miasteczkom, ale i wsiom. Duże pole do działania mają samorządowe związki elektrowni, które mogą już teraz zatrudnić około 500 inżynierów. Dotychczas bowiem na miejscach inżynierskich pracują różnego rodzaju półtechnicy i monterzy, bo pan inżynier nie życzy sobie jechać na prowincję, choć pensję miałby tam lepszą, niż w większym mieście.

Elektrownie międzykomunalne (samorządowe) nie wykazują szybkiego rozwoju i wieś, z małymi wyjątkami, nie posiada energii elektrycznej, za co winę ponoszą inżynierowie i technicy elektrycy, którzy nie chcą iść do małych miast, skutkiem czego odczuwa się brak fachowców wykwalifikowanych.

Przy dalszej rozbudowie elektrowni samorządowych i przy nasyceniu energią elektryczną coraz to nowych połaci kraju, znaleźlibyśmy zajęcie nie dla 500, ale kilku tysięcy inżynierów elektryków. Na tych stanowiskach również powinni się znaleźć synowie chłopscy, którzy by z pożytkiem dla wsi prowadzili elektryfikację kraju.

(C. d. n.)

Helena Szymańska

Po zjeździe Maturzystów-Chłopów

Trzeci Ogólno-Polski Zjazd Maturzystów-Chłopów, zorganizowany w Warszawie w dniach 6 i 7 września br. wykazał, że Ruch Młodowiejski, obejmując najbardziej wartościowe elementy z terenu wsi w pracy nad jej odbudową i znaczeniem w życiu społeczno-państwowym, wkracza wielkimi krokami w całokształt zagadnień państwowych i zdecydowaną swoją postawą domaga się jak najszybszego realizowania postulatów odrodzonej wsi polskiej, równocześnie zaś stwierdza:

> **„Warstwa chłopska nie posiada jednak dziś jeszcze należnego jej miejsca w Polsce. Prawa swe chłopi muszą sami sobie wywalczyć“.**

Do walki trzeba się jednak przygotować, trzeba zmobilizować wszystkie siły, związać jedną myślą i jedną ideą pod jednym sztandarem tych wszystkich, którzy we wsi, w trzonie narodu i państwa

widzą wielkie wartości społeczne; trzeba ruchem tym odpowiednio i umiejętnie pokierować, bo demagogia, zamiast rozkwitu przynieść może ruinę, pchnąć wieś w gorszą jeszcze nędzę. Wsi potrzeba do tej pracy gruntownej bardzo wielu ludzi wykształconych, którzy by mogli w pierwszym rzędzie poświęcić własne wygody i prowadzić pracę nad podniesieniem wsi. To też Zjazd szczególny nacisk kładzie na inteligencję wiejską:

„W pierwszym szeregu dźwigającej się wsi do nowego życia w Chłopskiej Polsce winna kroczyć inteligencja wiejska, pochodząca z chłopów ze środowiskiem swym silnie związana. Taka bowiem tylko inteligencja może właściwie odczuć bolączki i realizować dążenia mas chłopskich.

Maturzyści-chłopi, jako przyszła kadra inteligencji chłopskiej w czasie studiów na wyższych uczelniach, muszą utrzymać kontakt ze wsią“.

Obserwując życie akademickie, przeglądając statystyki, musimy stwierdzić, że ilość kształcącej się młodzieży chłopskiej na wyższych uczelniach proporcjonalnie do mas wiejskich, stanowiących przeważającą większość w narodzie, w zestawieniu z potrzebami i rozmiarem ruchu młodowiejskiego jest znikoma, to też Zjazd, zaczynając budzenie świadomości chłopskiej już na ławach szkolnych, domaga się:

„aby władze szkolne pozwoliły uczniom szkół średnich pochodzenia chłopskiego pracować w Związku Młodej Wsi, jako ich jedynej, na prawach pracy i sprawiedliwości społecznej opartej organizacji“,

...„aby naczelne władze szkolne poleciły dyrektorom szkół średnich zaznajomienie młodzieży szkolnej z ideologią ruchu młodowiejskiego i prenumerowanie do świetlic szkolnych pism młodowiejskich — „Siew Młodej Wsi“, „Przodownik Wiejski“, „Chłopska Wiosna“.

Jest to zagadnienie o wielkiej doniosłości. Od rozbudzenia bowiem świadomości chłopskiej w dużej mierze zależy przyszła linia postępowania w życiu. Synowie i córki chłopskie nie mogą się zrażać brakiem środków materialnych. W Warszawie muszą się znaleźć środki na umożliwienie kształcenia się młodzieży pochodzenia wiejskiego.

Rozpatrując przyczyny sytuacji, jaka istnieje na terenie wsi polskiej w dwudziestolecie odzyskania niepodległości, Zjazd dochodzi do wniosku, że powodem owego „usuwania się“ wsi od wyższych uczelni (zjawisko to powtarza się rok rocznie) są:

„1) olbrzymie trudności gospodarcze wsi, uniemożliwiające posyłanie synów i córek chłopskich na studia;

2) nadmiernie wysokie opłaty na uczelniach, przekraczające wszelkie możliwości materialne studentów-chłopów;

3) niedostateczna ilość stypendiów państwowych, nie mo-

gąca zaspokoić potrzeb materialnych wszystkich niezamożnych studentów-chłopów, którym wskutek braku środków grozi załamanie się moralne w obcym środowisku miejskim. Zjazd równocześnie domaga się zmiany istniejących przepisów w kierunku bardziej racjonalnego rozwiązania tej kwestii:

a) przez poprawę sytuacji gospodarczej chłopów i umożliwienie dla ich dzieci studiów na wyższych uczelniach;

b) przez zwolnienie całkowite lub wydatne obniżenie opłat uczelnianych dla studiujących córek i synów chłopskich;

c) przez odpowiednie powiększenie ilości i wysokości stypendiów państwowych dla studentów pochodzenia wiejskiego.

Syn chłopski darmochy nie chce lecz pragnie uczciwie we własnym środowisku odpracować udzieloną mu przez państwo lub społeczeństwo pomoc".

Dziś, kiedy nie można przez życie iść w pojedynkę, potęgę stanowi organizacja. Przez świat cały idzie jedno wielkie przeobrażenie. Zmieniają się systemy, powstają nowe pojęcia, buduje się nowe wartości, szuka się nowych dróg, w ciężkiej pracy wypracowuje się metody. Dziś obserwować możemy zupełne bankructwo idei, myśli i światopoglądów tych, które kiedyś miały decydujący wpływ na bieg życia społeczno - państwowego. Do głosu dochodzi chłop drogą postępu, nie zaś buntu i rewolucji — zdolnościami, wartościami i pracą; drogą ewolucji idzie ująć w twarde a krzepkie ręce ster życia państwowego. On, dawny niewolnik, pogardzany i odpychany — w duchowym pojedynku odniósł moralne zwycięstwo nad swym dawnym panem.

Młodzież, która na Zjeździe w tak zdecydowany sposób wypowiedziała się na temat walki w imię obrony interesów wsi, ma być— i jest — ową kadrą intelektualną, która wielkiemu i niepowstrzymanemu Ruchowi Młodowiejskiemu nadaje kierunek i postawę zdobywczą.

Na froncie walki podjazdowej

Jedną z najsmutniejszych prawd dzisiejszej polskiej rzeczywistości jest nadzwyczaj ciężka sytuacja materialna młodzieży akademickiej. Spotykamy się często z tak trudnymi warunkami bytu akademików, z brakiem najprymitywniejszych wprost elementów materialnych, że wierzyć się nie chce, aby w państwie o dużej kulturze mogły istnieć takie właśnie stosunki, aby było możliwym tak daleko idące zaniedbanie.

Zrozumiałym jest zatem, że w tych warunkach musiała się zrodzić koncepcja naprawy istniejącego stanu rzeczy, że szukano dróg wyjścia i że społeczeństwo, obok akcji państwowej, musiało

stworzyć odpowiednie formy pomocy, musiało stanąć zdecydowanie do działalności na froncie walki z nędzą i biedą studencką.

Z założeń tych powstało Towarzystwo Przyjaciół Młodzieży Akademickiej, które, uznane za towarzystwo wyższej użyteczności, postawiło swój cel wyraźnie i zdecydowanie: nie prowadzi ono akcji filantropijnej, lecz spełnia zasadniczy obowiązek obywatelski, polegający na przysporzeniu Polsce kadr inteligenckich, przyszłych pracowników we wszystkich dziedzinach twórczości narodowej.

Ten obowiązek obywatelski T. P. M. A. traktuje rzetelnie i posiada dziś poza sobą znaczny dorobek z dziedziny pomocy polskiemu akademikowi. Nie zadawala się funduszami, udzielanymi przez Min. W. R. i O. P., lecz drogą ofiarności publicznej pragnie zgromadzić odpowiednie środki, aby umożliwić studentowi wyłączne poświęcenie się studiom.

Rezultaty swej działalności T. P. M. A. potrafiło osiągnąć przede wszystkim dzięki należytej organizacji pracy i celowemu doborowi metod. Niewątpliwie najważniejszymi walorami koncepcji organizacyjnej Towarzystwa są możliwości uporządkowania opieki i pomocy dla młodzieży akademickiej, ujednostajnienie rozwijanej na tym polu akcji i wyraźne umiejscowienie odpowiedzialności za grosz państwowy i społeczny.

Podobnie, jak T. P. M. A., na zasadzie współpracy starszego pokolenia z młodzieżą została oparta struktura Fundacji Domów Akademickich w Warszawie. Kilkuletnia administracja Domami Akademickimi, sprawowana przez t.zw. Centralę Akademickich Bratnich Pomocy wydała jak najfatalniejsze rezultaty. Olbrzymie zadłużenie, dewastacja i zniszczenie domów, rozprzężenie organizacyjne, przekształcenie Kolonii Akad. pod rządami „narodowej“ młodzieży w jeden wielki lupanar — oto smutny bilans gospodarki Centr. A. B. P.

Powołana do życia Fundacja uporządkowała stosunki gospodarcze, obniżyła komorne, zrobiła z Domów Akademickich miejsce poważnych studiów i rzetelnej, opartej na zdrowych podstawach, pracy organizacyjnej.

Niewątpliwym więc jest, że zarówno T. P. M. A., jak i F. D. A. spełniły należycie swoje zadania i że w interesie młodzieży akademickiej leżałoby rozszerzenie ich działalności na szersze tereny, że zasługują te dwie instytucje na poparcie całego społeczeństwa.

Tymczasem obserwujemy zjawisko wręcz przeciwne. Grupki rozmatiyeh rozhisteryzowanych paniczyków, bystrych młodzieńców, co to i w „mądrej“ dyskusji się orientują i pałeczką chytrze operować potrafią — podjęły już od dłuższego czasu szereg napaści na T-wo P. M. A. i Fundację, nie przebierając w argumentach, chwytając się najobrzydliwszych środków. Kłamstwo, pospolita blaga, ordynarne krzyki — oto metody, jakimi operują „działacze“ młodzieżowi.

Ich programem, ich marzeniem jest, aby pieniądze wydawane przez T. P. M. A. szły do endeckich Bratnich Pomocy, a Domy Akademickie żeby stały się koszarami zorganizowanych bojówek. Wia-

domo — trzeba forsy na akcję polityczną, trzeba mieszkań dla mętów pałkarskich, które tak znowu za bardzo poświęcać się dla „wielkiej idei przełomu“ nie mają ochoty.

Paniczyki z ONR‘u czy więcej „prawej“ andecji pomocy nie potrzebują, bo to i tata da i wujo pomoże i tak z parę setek miesięcznie na „studia“ się uzbiera. Wprawdzie słyszeli coś o tym, że przyjeżdża rozmaita bieda z polskiej prowincji, z miasteczek i wsi, ale to wszystko są elementy niebezpieczne, kto wie, może nawet komunizujące? więc... „precz“ z nimi, i z T. P. M. A. i z F. D. A.! Nie zamącać „narodowego“ charakteru wyższych uczelni. Nędza niech pozostanie nędzą i basta. Miejsca dla „patriotycznych“ i leniwych obiboków!

Wierzymy, że niepoczytalne wybryki „złotej młodzieży“, która już otwarcie wzywa do czynnych wystąpień przeciw T. P. M. A. skończą się wkrótce definitywnie. Skończą je nie władze i nie policja, ale olbrzymia większość mądrze i uczciwie myślącej młodzieży akademickiej.

M. S.

Stanisław Czartoryjski

Blaski i cienie akademika

Radosnym gwarem rozbrzmiewają mury wyższych uczelni, oto zjechała gromada studencka do roboty, by w ciężkiej pracy zdobywać wiedzę. Ton wesołości i dynamizm reprezentują młodzi, zwani tu pospolicie „fuksami“. Przyjechali z pełnymi zapasami sił i grosiwa, nie zniszczeni ciężkimi warunkami i pracą wakacyjną. Dla nich urządza się różnego rodzaju „fuksówki“, herbatki, potańcówki, wciąga się do organizacyj, a oni, początkowo onieśmieleni wstępnym ceremoniałem, zdziwieni „ogonkami“, dają się wreszcie „uwieść“ barwie szumiącego życia studenckiego. Za kilka tygodni będą robili „przełomy“ i rozwiązywali problemy „zasadnicze“.

Nie wszystkim jest jednakowo wesoło. Niejeden nie zdążył ochłonąć z wrażenia jakie zrobiła na nim pierwszy raz widziana Warszawa, a już staje przed nim jak upiór zagadnienie obiadu, mieszkania i z tym wiążąca się licho płatna korepetycja. Rozleciały się przywiezione z domu pieniądze, połknęły je sekretariaty, administracje, okienka, tak, że na chleb zaczyna braknąć.

Poznaliśmy się szybko. Gotujemy herbatę na kolację. W duszy jego odczułem potrzebę zwierzeń. Pochodzi z kresów, wyrósł z pięciohektarowego obejścia, rodzinę ma liczną, składa się z 6 osób. Przyjechał tu, bo go ciągnął urok nauki. Nasłuchał się i naczytał o szerokim świecie, a narastających kadrach chłopskiej inteligencji, o możliwościach rozwojowych handlu i przemysłu, więc zapisał się na studia w Głównej Szkole Handlowej. Tak o tym zawsze marzył! Lecz

w tej chwili jest bez wyjścia, brak na opłacenie czesnego, które wynosi 600 zł. rocznie. Nie zapłacił w terminie połowy tej kwoty, więc go już prawdopodobnie skreślili z listy. Prosił o rozłożenie na raty — odmówiono. Chce gdzieś pracować, by zdobyć pieniądze, ale dotąd nic nie osiągnął. W mowie czuć wielki ból i rozgoryczenie do świata, bo jego wielkie zamiary giną w tłumie rozbawionej i roztańczonej „złotej młodzieży".

— A jak z życiem?

Machnął ręką uśmiechając się. Niósł pod pachą „akademicki" bochenek czarnego chleba do herbaty.

Zaczęła się tragedia chłopskiego dziecka.

Dziś jeszcze nie zdolności i chęci, a grubo wypchany portfel jest drogą do osiągnięcia wiedzy i tytułów naukowych. Nic dziwnego, że znikomy jest procent chłopów studiujących na wyższych uczelniach. Statystyki mówią o 7%, czyli 1 na 18.000 zdobywa się na czyn heroiczny, rzuca dom i walczy o swoją przyszłość na uniwersytetach.

Przypatrzmy się bliżej możliwościom. Gospodarstwo 10-cio hektarowe, nawet dobrze prowadzone, daje około 1500 złotych przychodu gotówkowego. Z tego trzeba opłacić podatki, ubrać rodzinę, dokupić żywności, przeprowadzić inwestycje. Można jeszcze z trudem wyciągnąć 100—200 zł. rocznie na kształcenie dzieci. Lecz koszty utrzymania w Warszawie są nieproporcjonalnie wielkie w stosunku do możliwości chłopskich. Czesne 300—600 złotych, mieszkanie i wyżywienie, choćby mieszkał „najpodlej", a żywił się chlebem i kapustą wyniesie około 600 zł., przy tym podręczniki, ćwiczenia, pracownie. Nędzne członki też musi przykryć choćby najlichszą odzieżą, kupić siaki taki płaszcz w środowisku, gdzie mieszczańska burżuazja nosi się w fokach, karakułach i brylantach.

Ciężko pokonać te warunki, cudów nie ma, jeśli się żyje, to trzeba jeść. Marnują się więc talenty chłopskie, a siły wycieńczają w nieproduktywnej walce. Ma wieś samorodnych rzeźbiarzy, muzyków, malarzy, którzy ukończywszy 4—6 klas szkoły powszechnej nie mają za co dalej rozwijać swoich uzdolnień. Wleczemy się gdzieś na szarym końcu pod względem cywilizacyjnym i pozwalamy na marnowanie się bezużyteczne sił i talentów ducha ludzkiego.

Nas to boli i krzywdzi, a was... kompromituje!

Zrozumieć trudno, dlaczego blokuje się progi szkół średnich i wyższych grubymi opłatami i odsuwa w cień najzdrowszą grupę społeczną, zdolną do najcięższej pracy konkurencyjnej. Ci, co postawili na odwagę i upór i przyszli się uczyć, zdzierają swoje siły i zdrowie, biegając za korepetycjami, głodni, niewyspani, przemęczeni. Nic dziwnego, że spalają się przez czas studiów w nieproduktywnej gorączkowej pracy i często po ukończeniu kładą się do grobu, przeżarci gruźlicą. Czas najwyższy to zmienić, czas otworzyć podwoje uczelni dla synów chłopskich.

Jest w Polsce prawo równości społecznej, ale jest niemożliwość korzystania z tego prawa. Tak jest, mają chłopi prawo iść na wyższe

uczelnie, ale nie mają warunków, aby się na te uczelnie dostać i tam wytrwać. Nieodosobniony jest głos pewnego profesora, który mówił: „Uczyć się mogą tylko ci, którzy mają pieniądze". Nawet gdyby byli osłami skończonymi!? Zaiste, jakaż bezdenna płytkość umysłu profesorskiego, który tak upakarzającą rolę sobie narzucił.

Więc jołopy z pieniędzmi zdobywają fakultety, stanowiska, pozycje społeczne, a talenty, które mogłyby „podciągnąć Polskę wzwyż", marnują się, giną.

I gdzież tu może być mowa o równości klasowej, gdzież tu może być mowa o sprawiedliwości społecznej!

Młode ziarna

Listopad

Dzieła nie kończy się łatwo, długo, —
rośnie w dziecięcych ufnych krokach w wieczność —
w listopadowych ogniach...
(do pracy twórczej przy swoich pługach
stajemy co dnia).
— Ty, co kresowe umiłowałaś Wilno,
wywiedź ku nowej Polsce drogi w smutne wierzby,
idące daremnie, —
pozwól młodym inne życie rzeźbić, —
oprzyj zbłąkane dnie o węgły naszych domostw —
ciszy najczulszej symfonią
— i pozdrowieniem ode mnie. —
Na drogę do światłości rzuć słoneczny pomost
Sercom i dłoniom.
Przyjdź nocą, zwycięstwo chłodne, trudem zasłużone —
w nasze dwadzieścia lat życia, w nasze dumne dzieje—
(— po chatach ludzie się zbiorą za ojców,
braci, synów, za dzieci — cichutkie modlitwy
w listopadowy odmawiać wieczór —)
Załopocą nad głowami skrzydła, historia powieje
przez chłopskie oczy przekrwione
opowiadaniami z pola bitwy —
na wsi, w opłotkach, po sadach, błoniach, zarzeczu
z dniem każdym zwielokrotniamy Polskę
w pracy społecznej.
Przyjdź na wieś, ojczyzno —
na wiatr nam podaj ramiona,
patrzymy w oblicze twe najsłodsze, najłaskawsze,
aż krwi strugi wybuchną bliznom —
Polsko — nie moja — — — —
Ziemio błogosławiona! — —

Edmund Całka.

Franciszek Lesiuk

Ludzie bez przydziału

(Dokończenie)

Obrady za chwilę miały się rozpocząć. Kurytarze i sale zjazdowe szumiały ludźmi. Młodzi maturzyści szli, napierali, jak żywy potok wlewali się przez drzwi wejściowe, napełniając gmach radosnym gwarem, roześmianym szczęściem. Jedni już odpoczywali po długiej drodze. Inni rozprawiali, wesoło opowiadając o wrażeniach podróży, o pociągach, które tak strasznie wolno wlokły się z pod Baranowicz, z nad pruskiej granicy, ze słonecznego Pokucia.

— Przez całą drogę żyliśmy pragnieniem, aby już prędzej ujrzeć mury stolicy. Niektórzy w Warszawie poraz pierwszy. Oszołomiła nas, olśniła, lecz wydała się jakaś obca i daleka.

— I taka ruchliwa, śpiesząca się, ludzki strumień wciąż płynie i płynie, jakoś bezmyślnie, bez celu.

— Umie być i nieczuła, obojętna, gdy w karakułach znudzona wsiada do limuzyny, brylantami olśniewa bale karnawałowe; gdy uczestniczy w oficjalnych konferencjach, lub wyuczone za biurkiem stawia tezy z dziedziny filantropii społecznej.

— Przekształcimy ją, wniesiemy tu wieś, ożywcze strumienie myśli chłopskiej, błękitną pogodę pól, aby nam tu było swojsko ochoczo — odpowiadali z zapałem.

Marek siedział cichy, skupiony w pokoju redakcyjnym. Przez na pół otwarte drzwi wpadały strzępki rozmowy, którą chłonęło głodne jego serce. Ogromne, nieopowiedziane szczęście rozsadzało mu piersi. Oto ten rozgwar prostych niezdeprawowanych serc przywozi mu rodzinną wieś, dojrzały poszum łanów, tęskniące milczenie pól, wzruszający poemat tamtego życia. Zapatrzył się w obmurowane okno, a ramy jego poczęły się rozluźniać, ustępować, rozprzestrzeniać, aż stanął w nich świat barw, jasności, łąkowych woni, leśnych ciszy, najdroższy, umiłowany — jego świat.

— Hen pod lasem Jasiek pasie krowy i ugania się za srebrnymi nitkami babiego lata. Na ścieżce Chromcowej posuwa się przygarbiona postać, to pewnie Weronka z tobołem zielska na plecach. Słońce podeszło już ku południowi i spada na ziemię promienną ulewą. Józwy odpoczywają w cieniu gruszy. A Zośki z obiadem nie widać. Może już idzie, bo zaruszała się czyjaś drobna sylwetka na zapolu.

Hej ty skierniewicka niwo szumiąca, i wy podlaskie łubiny złote!

Lakierowane drzwi ustąpiły i stanęli w nich Lodzia i Edek. Zajrzeli głęboko, serdecznie w jego twarz rozpromienioną. Rozumieli się zawsze, tak jak i teraz, gorąco ściskając sobie dłonie.

— Wpadliśmy po ciebie Marku, chodź, zobaczysz, ile tam życia, co za myśli, jaka postawa — gorączkowała się Lodzia.

— Chodź stary, będziemy się odradzać w młodzieńczej atmosferze zjazdu maturzystów — poważnie mówił Edek.

— Dobrze to ująłeś, odradza nas, przeistacza to, co się dziś staje, tworzy. Nagle spoważniał, nasępił się, patrzał daleko ponad kominami fabryk i mówił jakby z ulgą:

— Pamiętam tę ponurą przeszłość, gdyśmy — bezrobotni maturzyści — w jałowym buncie złorzeczyli światu. Milczące schadzki. Nienawistne, odwracające się od ludzi oczy, kryjące się po kątach, by w mroku nikt nie odczytał ich bolesnych wyrazów, samobójczych zamiarów.

Z nagłym olśnieniem odkrył prawdę, że ojciec zastrzelony na paszni dworskiej, noga strzaskana w maszynie — wyzwoliły w duszy jego nowy zasób sił i wprowadziły w okres nowej historii — walki. Gdybyż zawrócić czas i tamten pamiętny przedwieczór odwołać — śmierć Janka Wawrzona, spiętrzone siły jego, które kula samobójcza umiała tylko uśmierzyć, oddać prawdom, dzisiaj oczywistym, wówczas zmarły tragicznie kolega w potężnym nurcie tworzenia potrafiłby rozwiązać dramat własnej duszy.

— Myślę, czy tam w mojej wsi wileńskiej tak samo jeszcze ludzi dręczy zgryzota, załamuje się wiara, a młodzi najmocniejsi ołowiem skracają życie — martwił się Edek.

Z sali obrad przedarł się grzmot oklasków i słowa namiętnej dyskusji:

— ...przejdą obok nie spojrzawszy na nasz wysiłek wyrastający z dostojeństwa pracy naukowej, bogaci i syci zlekceważą tę moc, która w hardym pionie utrzymywać będzie wasze źle odżywione ciała. Lecz to nas nie złamie. Oni wszystko posiedli, a my mamy wszystko do zdobycia, w tym nasza siła, przewaga, nasza postawa zdobywcza!

— ...przychodzimy walczyć i zdobywać! Nie prosić! Na bulwarach miejskich będziemy krzewić nowy obyczaj, inny stosunek człowieka do człowieka. Chłopska dusza nie znosi upokorzenia, wystającego w oświetlonych pokojach szlachecko - mieszczańskiej burżuazji! — wołali młodzi ambitnie.

— Edek, oto odpowiedź dla ciebie — szepnął Marek. Raptem poruszył się niespokojnie, wstał, zastukał szczudłem o podłogę i wyniosły, mocny szedł prosto ku niemu.

— Ta wieś — upiorzyca — żyjąca jeszcze w wyobraźni, już żyć przestała w rzeczywistości. Z nędzy i buntu przeciwko nędzy wyrosła inna — młoda, silna, postawiła sobie ambitne cele przebudowy życia i z uporem do nich zdąża. I zrealizuje te cele, bez względu na czyjeś protesty i upodobania.

— A tamci, tamci co, cóż oni?! — pyta Lodzia z udręką w głosie.

—— Tamci... Starcy. Złamał ich ciężar kilku lat głodu, rozterki i beznadziei. Pogodzili się z losem cierpiętników ciągle utyskujących na życie. Obok nich przechodzi inne życie, którego oni nie widzą, ich dusza zgorzkniała odczuć go nie potrafi.

— Wielu jednak z nich przetrwało zwątpienie, rozpacz, upokorzenie, z życia wyszli zwycięsko. I my jesteśmy w ich liczbie.

— Zwyciężyliśmy, by na gruzach przeszłości budować nową Polskę chłopską — kończyła Lodzia.

— Czy my nie wmawiamy w siebie tej siły, nie żyjemy w złudzie, może wieś dalej drepce w miejscu, nie odnalazłszy swojej bussoli społecznej? — dręczył się Edek.

— Setki tysięcy młodych chłopów zorganizowanych i organizujących się, tysiące Kół Młodzieży Wiejskiej, tysiące sekcyj przysposobienia rolniczego, Akademickie Koła Chłopskie, 13 Uniwersytetów Ludowych w Polsce, budowa „Domu Chłopskiego" w Warszawie. Oto wyraz nowego oblicza wsi, jej duchowego przeobrażania się, jej postępu. W upartej pracy realnej, w stawianiu nowych zadań, w zdobywaniu wiedzy — młody chłop przerasta wieś wczorajszą.

Echo gorącej dyskusji doniosło się tu z sali obrad.

— ...wyszliśmy pod wiatr, pod burzę, by szturmować, zdobywać Warszawę, Wilno, Kraków! Po tytuły naukowe sięgamy, my pierwsi burzymy pojęcie społeczne, że nauka jest przywilejem bogaczy! Przychodzimy tu po naukę, po pracę, przydziały między ludzi rozdzielić, reformować życie, wprowadzać sprawiedliwość społeczną!

— Do nich należy przyszłość — myśleli wszyscy.

Edka porwała dyskusja, więc wysunął się na salę. Zostali oboje.

— Gdy myślę o tym uporczywym dążeniu wsi i krystalizowaniu jej nowej pozycji społecznej—uświadamiam w sobie głębokie związki ze wsią nową treść, przy tym raduję się — że jestem potrzebną, może niezastąpioną, ktoś na mnie czeka, mam przydział... — mówiła z zapałem Lodzia. Patrzył w jej oczy świetliste, i oddalał się w głąb siebie, skąd szła ku niemu siła, przeszłość i wspomnienia:

— ...Matka płacze zcicha po kątach, do węzełka, który gotuje na drogę sypią się jej łzy gorące. Ojciec jeszcze bardziej małomówny. W samotności o czymś głęboko rozmyśla. Siwe oczy ukradkiem chodzą za mną. Wreszcie pożegnanie. Ten sumiasty wąs ojcowy na czole. Zaplecione na szyi ręce matki, mokra twarz, po tym ten okrzyk niestrzymany w sercu: synu! Często w niespane noce przychodzi to wołanie — może to, może inne — ale stamtąd. Woła mnie pole ojcowe, łan szumiący, ludzie, z którymi rosłem — przychodzi wieś, jak ktoś najbliższy, swój: synu!...

— Wrócimy do niej, tam nasza przyszłość, nasze przydziały — szepnęła zasłuchana.

— I w twoich oczach, w twoich oczach!

— Drgnęła, przerażona jego przeczuciem i nową siłą, która budziła się w niej, rosła, promieniała.

— Wiejską drogą piaszczystą porzuconą w słońcu, idą przede mną... twoje oczy. Tak jeszcze daleko do końca, daleko!... Bała się zgłębiać symboliczny sens jego słów.

— Jutro w drukarni. Pomogę ci przy składaniu „Chłopskiej Wiosny".

— Naszej wiosny... Złożymy ją z serc młodych, myśli odważnych. Ona nas zbliży, zgubionych odnajdzie. Jutro będziemy bliżsi tego, co nadchodzi, co staje się w nas, i tam na sali zjazdowej, co szczęściem rozsadza piersi — bliżsi o jeden etap.

Na sali huczały oklaski.

Renata Zawadzka

Dwa światy

Studenci zgromadzeni w głównej auli mieli urządzać strajk okupacyjny.

Antek, ogłuszony wrzaskiem i już trochę znudzony, siedział obok grupy dyskutujących. Blondyn, zajmujący centralne miejsce, wywodził z zapałem: „Honoru akademika musimy bronić! Parę wybitych szyb, to nie powód, żeby studenta pozbawiać wolności osobistej. Solidarnie cała młodzież narodowa musi bronić się przed zalewem żydo-komuny i upomnieć się o zwolnienie aresztowanych kolegów. Wszystkie uczelnie winny się przyłączyć do strajku i wykazać swą solidarność“!

— A ci koledzy umieją być solidarni, którzy zaczęli akcję na własną rękę, nie pytając większości o zdanie? — zagadnął z boku jakiś głos. Gdyby większość wypowiedziała się za spokojną nauką, czy tamci dostosowali by się tak karnie i wykazali solidarność?

— Ależ kolega nie może wątpić, że akcja narodowa jest najważniejsza z pośród wszystkich spraw ważnych.

— Chyba wy jesteście z żydów? — pośpieszył skwapliwie inny

— Precz z żydami! — zahuczało znowu nad tłumem.

— Ja nie jestem z żydów. Jestem ze wsi — odrzekł spokojny głos. Antek spojrzał na niego z sympatią.

— Ze wsi — pomyślał Antek — tak, jak ja.

Blondyn znów podjął swoją mowę, ale jednocześnie huknęły gdzieś drzwi na dole i rozległ się suchy trzask rozbijanych szyb. Przez drzwi wlewał się ciemny, granatowy szereg i groźnie rozstawiał się pod ścianami.

— Policja! — zaszumiało w tłumie.

Na salę spadła cisza i wszystkie głowy obróciły się ku wyjściowym drzwiom, które nagle zamknięto. Długą chwilę trwało niepewne milczenie. Zaskoczone, młode spojrzenia ścierały się ze spokojnym spojrzeniem granatowego szeregu. Nagle padło donośne:

— Kto okaże osobisty dowód akademicki, może opuścić salę. Przywódcy posunęli się naprzód — szybka narada — i rozbiegli się po sali, nawołując:

— Nie wychodzimy z auli! Wszyscy oddają legitymacje delegatom! Gwar znowu się rozszumiał. Granatowy szereg trwał nieruchomo. Antek widzi akademików, którzy zbierają do teczek legitymacje od kolegów. Ktoś szepnął mu w ucho:

— Chcą ukryć w ten sposób kolegów, którzy tu przyszli z innych uczelni i bojówkarzy. Teczki napełniały się szybko, studentki i studenci karnie, bez oporu oddawali dowody. Najwięcej uzbierał ich ów najwrzaskliwszy mówca.

Antek uczuł napływ sympatii. Podobała mu się solidarność młodzieży, przed chwilą obojętnej lub rozgadanej. Czuł się związany z tą gromadą poczuciem wspólnoty. Już sięgał ręką do kieszeni, by rzucić do jednej z teczek swój nowiutki dowód akademicki.

Nagle wzrok jego padł na głoszącego przed chwilą mówcę — antysemitę, który nieznacznie posuwał się ku wyjściu. Antek patrzył i czekał. Tamten już przy drzwiach błysnął legitymacją i znalazł się szybko po drugiej stronie kordonu. Swobodnie opuścił aulę. Antek zbladł ,ręka wcisnęła dowód z powrotem do kieszeni. W tej chwili przesuwała się przed nim teczka.

— Proszę oddać legitymację, kolego. — Antek spojrzał mu w oczy.

— Wy tu zbieracie od innych legitymacje, a potem sami ujdziecie, jak tamten. Takie u was koleżeństwo!

Chłopak zaczerwienił się i wybąknął coś, czego Antek już nie słuchał. Znów uczuł obcość i pustkę otoczenia. Odwrócił się gwałtownie i ruszył wprost do drzwi. Byle prędzej wydostać się z sali.

Na szerokich schodach przystanął. Kamienne płyty zdawały mu się kołysać pod nogami. Cały gmach zaufania, podziwu, życzliwości dla nowych przyjaciół walił się w gruzy.

Wszystkie naiwne rojenia o życiu na uczelni, poświęcone nauce i przyjaźni rozwiewały się w gorzkim poczuciu rozczarowania.

Czuł się samotny, jak rozbitek na nieznanym brzegu.

— — — — — — — — — — — — — —

Drogą wyboistą i piaszczystą pod górę jechało dwóch chłopców na rowerach. Akademickie czapki i skromne ubrania były przykurzone. Pora była wczesna. Z za niewielkiego lasku wznosiło się jesienne słońce. Liście przydrożnych krzewów połyskiwały od rosy. Z boku ukazywały się siwe chałupy dużej wsi.

— Wiesz, Antek, to już dojeżdżamy — odezwał się jeden.

— Ale to dziś odrobimy, dwa Koła za jednym zamachem — odrzekł tamten wesoło.

— Dobra to rzecz, taki wyjazd w teren.

— Będę cię, Felku, długo wspominał za to, żeś mnie wtedy zaciągnął na zebranie Koła Akademickiego — prawi szczerze Antoś.

— Widziałem, że się obijasz, błąkasz wśród obcych. Przyszedłbyś sam zresztą. Dokonało by się to w tobie. Do Koła Akademików-chłopów łatwo jest chłopu trafić.

— Po tym strajku, to się strasznie głupio czułem. Ani się uczyć nie można było, ani kolegów żadnych nie miałem. Dopiero, jak przyszedłem na zebranie, to mi się w głowie rozjaśniło. A ile czasu straciłem, zanim zacząłem z wami pracować.

— Czas stracony odrobisz teraz. Wiadomo, że do wyjazdów nikt się tak nie wyrywa, jak ty, a to przecie ważna część naszego programu.

— A pewnie, że się wyrywam. Gdy pomyślę, jak to w Kołach czekają na niedzielę i na przyjazd kolegów z Warszawy — to jestem gotowy i o północku wyruszyć. I wiesz, Felek, za każdym razem widzę na wsi coś takiego, czego przed tym nie widziałem, a co trzeba zmienić. A to brak spółdzielni, a to świetlicy, domu ludowego nie ma, a to młodszymi dziećmi nikt się nie zajmuje. Albo i te drogi, choćby ta, po której jedziemy, — chciałbym, żeby do tych, co w „Siewie" opisują, podobne były.

— Nawet nie musielibyśmy tak rano wstać, gdyby nie ta droga. Zebranie w Wólce tak się późno skończyło, a dziś zaraz po kościele zbiera się Koło w Zaleśni. Trzeba jeszcze z prezesem pogadać. Dzielny chłop, on i do starszych przemówić potrafi.

— Żeby wielu takich było — dodaje drugi — to i ten sprawiedliwy ład prędzej by dla wsi zdobyli. A wiele rzeczy zmienić trzeba. Tyle chciałbym umieć, tyle się jeszcze nauczyć, żeby ludziom choć dobrą radą służyć.

— A teraz tą dróżką, będzie nam bliżej do wsi.

Paweł Opałko

Promienne kosy

Na łąkach —
trawa jest kędzierzawa, miękka i zielona,
z chrzęstem lgną w trawie kosy —

— — — — — — — — — — — —

Jutro — niebo się rozsłoneczni — —
promiennym sztorcem kos wbitych w ziemię —
trysną czerwone krople krwi z jej piersi pszenicznej,
rosa obmyje stopy zranione o krzemień.

— — — — — — — — — — — — — —

...Trawa jest kostrzewiasta, soczysta, zielona —
— na ostrzach krew zakwitła, a krew jest czerwona!

— — — — — — — — — — — — — —

O chwale kos dawnej, niewoli dalekiej
słońce smykiem promieni gra na skrzypcach rzeki —
pieśń twardą, nabrzmiałą znojem —
W zielonym fortepianie
żaby długim kumkaniem
zmawiają się
kosynierów sławić,
którzy kosami na strzępy spruli niebo,
niebo świtem krwawi!

Z krwi się rodzi uśmiechnięty trud
zawarty w kromce chleba...
— Łzami świata nie zbawisz!!....
Przez walkę —
do władztwa ziemi!
przez ziemię —
po chleb!!
Za życie nasze głodne i nagie
w promieniach kos — ślubujemy walkę,
odpływając w przyszłość,
nad nami słońca złocisty welon
i nieba rozwinięty żagiel —
Jutro w glob uderzy zielona pięść!!
Nam wolność!
Mścicielom niewoli — Cześć!!!

Marian Minias

Chłopska dola

Zachorzał stary Mateusz na dobre.

Nie pomogło mu słońce, które przez połowę dnia wchodziło i wychodziło przez drobne i zabrudzone szyby do izby; ani też migotliwe promienie — złote nitki pajęcze, oplatające siwą, spracowaną głowę Mateusza.

Nie pomogły odgłosy klepanych kos, szykowanych do żniwa, ani też ochocze śpiewki dziewcząt, wracających z pola po całodziennym, znojnym zbieraniu żyta za kosiarzami.

Mateusz nasłuchiwał tęsknie ryków bydła pędzonego z pastwisk do obór, skamliwego ujadania Burka na powracających z pola lub też na podróżnego w obejściu. Srebrnolicy księżyc, szukał uparcie Mateuszowego łoża, jakgdyby chciał mu szepnąć do ucha:

— Gospodarzu! — w obejściu praca — bydło głodne porykuje, spracowane koniska nieoprzątnięte, kosy niepoklepane na jutrzejszą kośbę — a wy śpicie! Co, was leń obleciał?

Nie pomógł nawet Mruczek, który nie widząc cały dzień gospodarza, skoczył na łóżko, przejechał kilka razy puszystym ogonem po nosie, pomruczał, poprzymilał się, aż w końcu zwinął się w kłębek pod pachą i usnął.

Mateusz leżał cichy, nieporuszony, wyschły.

Jak leżał rano, tak leżał na przypołudnie, na wieczór i tak zastał go księżyc nocą, stając białym słupem przy łożu chorego.

Aż kiedyś — na przedwieczerz się miało — Mateusz ocknął się.

Ziewnął jak zwykle, szeroko, głęboko, przeciągnął się raz, drugi — pogmyrał jakoś niezdarnie palcami w słomie, potem dźwignął się z pościeli, chciał usiąść lecz zachwiał się tylko i opadł spowrotem na poduszkę.

— Słabym jest — zadrgały bezdźwięcznie wargi.

— Lenić się wam zachciało — szepczą drzewa za oknem.

Zacniło się strasznie staremu za domową krzątaniną.

— Tero bym krowie sieczkę sypoł, koniom obrok dowoł, świniom narządził. Wieprzki chude som, a tu zima się przybliża, przyodziewy dokupić by trzeba. Stąszce nowe trzewiki — martwił się szczerze.

Dźwignął znów siwą głowę, lecz daremnie; opadła spowrotem głęboko, w puchowe poduszki.

— Wstawaj stary leniu, wstawaj — kusi, podjudza wiatr za oknem.

Rozsierdził się stary na dobre.

— Cóżem to za leń! Małom się narobił, napracował; małom potu wyloł. Należy mi się odpoczynek! — wykrzyknął.

Powoli uleciał z niego gniew, a duszę nawiedził taki duszący żal za czymś straconym, za czymś, co było dotychczasowym jego życiem, jego codzienną troską, co napełniało serce czuciem, a głowę myślami.

— Co me jest? — wyszeptał.

— Żyto już dawno dojrzało, a ty śpisz i śpisz. Kto za ciebie będzie kosił, zbierał, zwoził do gumien, kto? — nawoływały jakieś tęskne głosy z pola.

Zasłuchał się stary w to dziwne wołanie i nie mógł wymiarkować, co by to mogło być.

— Zimia me woło — wyszeptał po chwili.

Zapatrzył się w okno; znikły mu zmarszczki z czoła; wypogodziły się lica i uśmiechnął się rzewnie do swojego kochania.

— Zimia me woło — wyszeptał po raz wtóry.

— Trza iść w pole, kosić, sprzątać, orać, sioć, brónować.

Dźwignął się powoli, lecz jęknął tylko i powalił się ciężko na pościel.

— Jutro wstanę — wyszeptał... Wyśpie się, wywczasuje, nabiore sił, bo mi potrzebne do pracy.

I tak co dzień próbował swoich sił, lecz za każdym razem opadał na pościel coraz ciężej i coraz głębiej, zagrzebał się w słomie, że tylko wystawał mu długi i cienki nos, kosmyk skudłanych siwych włosów, jak strzecha, sumiaste wąsy i ruszające się wychudłe ręce.

— Pewnikiem jo już nie wstanę — szeptał czasem, a potem modlił się żarliwie i długo.

Niekiedy nabierał jeszcze ruchu i powagi gospodarskiej, dając polecenia i nauki gospodarskie synowi.

Słabł coraz bardziej. Aż raz, a było to po św. Janie, w czwartek, w samo południe, kiedy było najpiękniejsze słońce, najwięcej roboty ze zwożeniem zboża — pomarł.

Pomarł na dobre, na zawsze, na wieki.

Nie pomogły lamenty starej, jak on siwej, z pomarszczonym licem Mateuszowej, dozgonnej jego małżonki, towarzyszki niedoli życiowej, ani też radość synowej, obojętność syna, ani ryk bydła, rżenie koni, niemilknące ujadanie Burka, przymilanie się Mruczka, ani nawet odgłosy z pól... Nie pomogły, nie...

Pomarł se i leży najspokojniej w świecie, obojętny, zimny, niesłuchany.

Umyto go, ubrano, włożono do sosnowej lichej trumny; ustawiono ją na dwóch ławach, zapalono kilka łojówek, dwie gromnice, zamieciono izbę i wystawiono go na wsiowe oglądanie.

Wieczorem pośpiewano mu żałośliwie, politowano się nad jego śmiercią, nad wdowieństwem starej Mateuszowej; ta i tamta kumoszka otarła zamaszyście łzę kiecką, pochlipując tak, żeby ją widziano; przyszedł kościelny wziąć miarę na grób i przetargować się; to zajrzał organista, aby wymiarkować ile by mógł wyciągnąć grosiwa z pochowunku. A wszystko to działo się w izbie i na wszystko to patrzały z pod niedomkniętych powiek Mateuszowe zgasłe oczy.

Przyszedł dzień pogrzebu. A że był to dzień pogodny, ciepły, dzień zwózki zboża, nie wiele zebrało się ludzi. Tylko co bliżsi i sąsiedzi.

Zabito trumnę gwoździami, włożono na drabiniak i ruszył orszak szeroką, wyboistą drogą w stronę kościoła.

Czasem orszak zaśpiewał; to znowu zmówiono Ojcze Nasz i Zdrowaś Maria za duszę Michała; niejedna z kumoszek pochlipywała na głos, ku zwróceniu uwagi, czasem rozdarł się bolesny jęk Mateuszowej. I tak szli. Prowadzili ostatni raz tą drogą Mateusza, po znojnej i ciężkiej pracy, na wieczny spoczynek.

Przed kościołem pokropił Mateusza ksiądz święconą wodą, obkadził, organista zaśpiewał, kościelny pociągnął kilka razy za sznur dzwonu, który odezwał się płaczliwie, jękliwie nad chłopską dolą — lecz trwało to bardzo krótko, chwilę zaledwie, odpowiednio do skromnej zapłaty za te ceremonie.

Około cmentarza zdjęto z wozu drabinę, ściągnięto trumnę, na barkach wniesiono za ogrodzenie cmentarne i spuszczono do żółtego dołu.

Posypała się ziemia na czarne wieko, przykrywając na zawsze strudzone i spracowane Mateuszowe kości.

— Tam se odpoczniesz, chudziaku, ale jo! — lamentowała Mateuszowa wdowa.

Zażółciła się nowa mogiła; poszeptano zdrowaśki i ruszono w ciszy do domów, do gospodarstw, do pracy, trudu, znoju, do nowych turbacyj, do dalszego życia.

Zofia Karczmarczykówna

Przy lnie

Jazgotał czas jesienny, czerwony i szary
Hałaśliwą cierlicą, śmiechem dziewcząt.
Jabłoniom w sadach — wiatr prawi cuda, bajki i koszmary,
Urywki tajnych szeptań dziewczęcych,
O których gwarzą przy lnie sny tęczowe,
Wplatając w srebro włókien światła księżycowe.

Tak trą garść jedną, drugą — garść po garści,
Pęki jedwabnych włókien, składając na stosy,
Wiatr trzęsie pyłem złotym — drzewami szeleści,
Chłodząc dziewczęce lica zorzami spłonione,
Wykwitłe od pośpiechu... rozmów tajemniczych,
Pełnych słonecznych wspomnień i marzeń dziewiczych.

Trą swe lny złociste, pachnące żarem lata,
Strząsając z lnu miękkiego złociste paździerze,
Włóknami jedwabnymi dzień się im posplatał —
Jeden, drugi i trzeci — czas im słońce mierzy.
Więc trą radosne — pośpiesznie, szybko, zwinnie
By później kądziel w chacie — latem pachniała — w zimie.

Mieczysław Konopka

Armada w krzykopie

Wiela to było łuciechy w cołki Polsce skisz tego, iże Ślunzek za Olzum przełunczunny został do Macierzy. Jako się to raduwali te boroczki, nasi Polocy za Olzum, kierych bez telki roki łuciskali cysaroki. Farona kandego już był ale siarunowy czas, co by une pepiki wykludzili się z polski zimi.

Jak się ta srogo haja zunacyła w Czechach skisz Sudetów, to przeca my ni mogymy być po zadku i zabocyć uo naszych braciach za Olzum. Wtedy to rozmajte panoczki lotali na „fligrach“ tam a nazad, uosprowiali, rzundzili i nałostatku Nimcum dali srogi kyns zimi, a prawili, iże Ślunzek bydzie załatwiuny nieskorzy. Ja! — ale to nima tak, jakby se kiery myśloł. Polocy się witnuć nie dali. Nasi panoczkowie nie uosprowiali za tela, jenyj śtyry dwadzieścia godzin termin; nima godki, tak albo ni i fertyk.

Czesi uobejrzeli, iże z naszymi panoczkami mocka sie ta nie na uosprowiajum, ni mieli boroczki nic inkszego do czyninio, jenyj przyzwolić i pedzić: tak. I tak tyż się ale stało. Tela co to Czechy pedzieli, a tu już, farona, nasze wojoki tumpium po moście cieszyńskim za Olza. Kunsek po kunszczku zajmujum nasze wojoki ziemia

zaolzańsko, a kaj sie łukożum, to ludzie ciepium na nich kwiotki, winkujum, radujum sie, grajum a śpiewajum polskie pieśniczki z łuciechy.

Jak nasze wojoki maszeruwali na Trzyniec, pod miastym przy szosyji w krzykopie siedziało se bez czterdzieści wojoków czeskich i uosprawiali, a kurzyli cygaretle i nic a nic sie nie tropili. Jechoł jedyn panoczek isto Polok szykownym autokim, toć Polok, bo kiery inszy śmioł by sie smykać autokim po cieszyńskim wtedy i uobejrzoł unych wojoków. Podziwoł sie, uostawił autok stoć i prawi do nich:

— Na tuż, pierona, wasi delni wojacy, wasza delna armada ustupiła, a tukej zarozki bydum polskie wojoki. Tuż na co czakocie!

Prawili mu tymu istnymu, iże czakajum na kuchnia, bo by coś małowiela skucli. Panoczek siod do autoka i pojechoł. Monej trwało ze dwie godziny, jedzie nazod, dziwo się, a tu, piernika kandego, delna armada furt siedzi w krzykopie i czako na ta kuchnia. Zaś tyn panoczek uostawił autok stoć i prawi do nich:

— Na tuż farona miluńskiego, już terozki nic tukej ni mocie do szukanio, jenyj po gibku chytejcie sie do ucieczki, bo przeca zarozki tukej bedum polskie wojoki. Panoczek pojechoł do Cieszyna, a delni wojocy prawili mu, iże jak spotko ta kuchnia, coby pedzioł, iże uni tukej czakajum na nia.

Boroczek tyn panoczek Benesz. Joby chcioł widzieć, jak by un z takimi wojokami ta wojna robił.

Po wertepach

UPIORY PRZESZŁOŚCI

Na tle postępów kultury i cywilizowanych form życia współczesnego pojawiają się nierzadko upiory z okresu płonących stosów, świętej inkwizycji, wrzaskliwi obrońcy zwulgaryzowanej „kultury", a ściślej mówiąc, reduty ciemnogrodów. Zamaskowani korsarze urządzają najazdy na cześć ludzką i prawdziwy postęp.

Zausznictwo, denuncjacje, inspirowanie fałszywych oskarżeń— to wierne oblicze pseudokultury umysłowej ludzi, którzy za tą zasłoną skrywają paniczny lęk przed każdą jaśniejszą ideą, która idąc potężnym marszem, rozwala po drodze barykady wstecznictwa, broni prawdziwego postępu i kultury, splugawioną cześć ludzką oczyszcza z żółci „zaplutych karłów".

Ideą postępu i kultury jest niewątpliwie inicjatywa „Domu Chłopskiego" w Warszawie.

„Ruch Młodowiejski", inspirator tego dzieła na miarę pokoleń tak określa jego potrzebę:

„Jako najliczniejsza warstwa społeczna w narodzie, która z karabinem w ręku walczyła o niepodległość i broniła Jej; jako żywiciele całego kraju, twórcy rdzennie chłopskiej kultury — chłopi są siłą, na której opiera się wielkość Rzeczypospolitej. Opierając na chłopie odrodzenie i budowę państwa polskiego w duchu

sprawiedliwości domaga się odeń czynu w walce o taką kulturę narodową, której chłop stałby się tworzycielem i podmiotem.

Dlatego też chłopi muszą stworzyć centralny ośrodek twórczy myśli chłopskiej, kształtującej i obejmującej wszystkie dziedziny życia państwowego. Tym ośrodkiem będzie Dom Chłopski, który siłami wszystkich chłopów bez różnicy poglądów społecznych i politycznych stawiamy".

Nie podobało się to panom z „pałacu prasy", którzy w Nr. 240 z dnia 31 sierpnia 1938 r. „Ilustrowanego Kuriera Codziennego" w artykule p. t. „Cieplarniane kwiatki przy chłopskim kożuchu" zaatakowali inicjatywę domu chłopskiego w Warszawie. Zatrwożyła ich ta nowa nieznana siła chłopska, której niepodobna już dziś zamknąć w zjadliwej, cynicznej hiperboli o gnoju i widłach, która widły podniósłszy do znaczenia symbolu pracy — sięga po prymat pierwszeństwa w narodzie i nie da się otumanić szarlatańskimi sztuczkami z epoki średniowiecza.

I. K. C. podjął walkę z chłopskim „najeźdźcą", zdumiała i oburzyła go postawa chłopa, który ośmielił się szturmować stolicę, by tu budować własny dom chłopski i tworzyć ośrodek nowej kultury. I. K. C. pisze:

„Obecnie czytamy, iż „Siew" pragnie wybudować gmach za 10 mil. zł. Okazją ma być 20-lecie Ruchu Młodowiejskiego.

Gigantyczny gmach „Domu Chłopskiego" w Warszawie jeszcze nie stanął. Pozwolą szanowni inicjatorzy, że ten piękny plan architektoniczny uzupełnimy fontanną — zimnej wody. A tej wody zimnej potrzeba bardzo wiele, jeśli nie mamy przeżyć rozczarowania i jeśli w czasach powojennych Polski nie mamy zapisać nowego wyczynu, świadczącego o zupełnym braku realizmu w działaniu i karygodnych wprost dysproporcjach".

I. K. C. boi się, aby chłop nie począł tworzyć powojennej historii Polski, chce przeszkodzić, aby chłop i jego czyny nie nabrały znaczenia historycznego. Uważa, że dążenie 20 milionowej masy chłopskiej, by stworzyć w stolicy własny ośrodek kultury i cywilizacji jest „karygodną dysproporcją". A przecież pomieszczą się w „Domu Chłopskim": Akademia Chłopska, gdzie cała Polska będzie się uczyła wsi, Muzeum, zawierające całkowity dorobek kultury, biblioteka, centrala wydawnictw, centrala spółdzielcza jako ośrodek wytwórczości i skupu wszelkiego handlu i przemysłu wiejskiego, dom noclegowy, bursa. Realne dążenie do podniesienia wsi I. K. C. nazywa „karygodną dysproporcją". Czyżby już dziś się obawiał, że oświecony chłop nie pozwoli się nękać zarzutami komunizmu, bezbożnictwa, przestanie być łupem dla sensacji nienasyconego molocha, jakim jest „pałac prasy"?

Panowie pocieszają się jednak, że strasząca nocami „zmora" chłopska jest jeszcze daleko:

„Ale my nie łudzimy się przecież wcale i rozumiemy, że jeśli „Siew" przez pół roku zebrał około 10.000 zł., to na zebranie 10 milionów czekaćby wypadało około... 500 lat".

A odepchnąwszy „nieszczęście" na pół tysiąca lat, osłaniając się

imieniem troskliwego obywatela bezczelnie rypie: **„Polski nie stać na kwiatki przy kożuchu, nawet na wiejsko - miejskie kwiatki przy kożuchu chłopskim. Wiemy jak kończą się takie imprezy. Zaczyna się pukanie o subwencje, pokrywane frazesami społeczno - politycznymi. W rezultacie pieniądze idą na marne“.**

— Przyznajemy wam, hurra-patrioci, że wy najlepiej wiecie, jak się marnuje pieniądze publiczne. Pytamy tylko:

— W imieniu jakiej to Polski mienicie się być stróżami grosza publicznego i odważyliście się zwalczać przyszłą placówkę wychowawczą, redutę kultury chłopskiej, twórczą ideę rąk i serc prostych — czy tej Polski z pod Radzymina i Ossowa, w mundurze podartym kulami, ubroczonej krwią chłopską, czy upiorzycy, wylęgłej za waszą barykadą, karmionej sensacją „taniego detektywa“, żyjącej w aureoli dobrobytu na rozległych latyfundiach?

Na cóż stać „waszą Polskę“, jeśli jej nie stać na przybytek cywilizacji i kultury dla najliczniejszej klasy społecznej w państwie, na której opiera się jego dobrobyt i obronność?

„Wasza Polska“ nie znosi śmierdzących kożuchów, nosi kwiatki w butonierkach smokingów i fraków. „Wasza Polska“ pragnęłaby mieć niewolnika, przykutego wiecznie do wideł i gnoju, który by pracował dla szlacheckiej rozpusty.

W naszej Polsce jeszcze obowiązują atrybuty prawa i moralności publicznej, nie oddające pod stróżowanie kultury narodowej sprzedajnym sługusom pieniądza, którzy dla pieniędzy nie wahają się uprawiać pornografii i stręczycielstwa w swoich organach prasowych.

Chłop swoją Polskę buduje na podstawach głęboko umiłowanych idei i nie znosi tych, którzy bezideowość przyjęli za przewodnią swojego rozwoju, którzy kramarząc i kupcząc hasłami — na wzór „Mädshen für alles“ sprzedają się temu, kto drożej zapłaci.

Namiętne zwalczanie na łamach I. K. C. wysoko zorganizowanej szkoły powszechnej, walka z rozporządzeniem Pana Prezydenta R. P. o praktykach lekarskich na wsi, zajadły atak na demokratyczną uczelnię wyższą — Wolną Wszechnicę Polską — to dowody zacofania i wstecznictwa w dziedzinie rozwoju myśli i kultury, to przeszkadzanie w podnoszeniu się umysłowym i fizycznym wsi polskiej.

Oświata i postęp widocznie nie sprzyjają brukowym aspiracjom I. K. C. Tylko ciemnota rodzi zamiłowanie do zbrodni i przestępstwa, do babrania się w piernatach Gorgonowej, sypialni Maliszów, lubowania się w patologii seksualnej i dreszczykach kuplerstwa.

I. K. C., mimo hałaśliwych metod prasowych, nie zdołał „sfabrykować“ opinii „publicznej“, która tym razem nie uległa (jak w procesie „Płomyka“), nie poddała się sugestii bezkarnie drukowanego słowa.

Inicjatywa „Domu Chłopskiego“ urasta do wysokiego ideału demokracji polskiej, której niezależnego rozwoju nie powstrzyma najbardziej ponury w dziejach „kulturkampf“, żaden bastion ciemno-

ty i kołtuństwa. Nie wystarczy zdmuchnąć jakiś jeden „Płomyk“, zburzyć jeden „Dom Chłopski“, aby zabić wyzwoloną, tęskniącą przez wieki siłę ducha ludzkiego, którą dziś jeszcze usiłuje się przysłonić czarnym kirem ciemnoty. Ta siła idzie, ona nie prosi o nic nikogo, lecz zdobywa, bo uważa się za uprawnioną do tej postawy zdobywczej.

Dyskusję z I. K. C. uważamy za zbędną. Odpowiedź dla siebie znajdzie w jednolitej postawie społeczeństwa całego bez względu na jego klasowość. Uchwały chłopskie, rezolucje kongresów młodzieżowych, spontaniczne manifestacje, setki i tysiące złotych, które poczta przynosi z najdalszych zakątków kraju — grosz z trudem przez chłopskie ręce zebrany — oto dla was odpowiedź, a dla nas gwarancja, że podjęte przez nas dzieło jest głębokim wyrazem i potrzebą 70 proc. warstwy narodu polskiego.

PLATONICZNY UKŁON.

Dookoła rozporządzenia Pana Prezydenta o praktykach lekarskich na wsi rozpętała się wielopłaszczyznowa dyskusja.

Ustawa jest zwalczana z całą bezwzględnością przez Związek Lekarzy Rzeczypospolitej Polskiej i Naczelną Izbę Lekarską. Przemyślana akcja świata lekarskiego zdołała przełamać jej pierwotne brzmienie, „złagodzić“ ostrze rozporządzenia, które w poprawce postanawia, że młody adept sztuki lekarskiej w okresie pięcioletnim po uzyskaniu dyplomu, jeśli nie zdobędzie pracy stałej w mieście, musi odbyć 2-letnią praktykę w środowiskach wiejskich lub małomiasteczkowych.

Takie postawienie sprawy przekreśla ustawę. Żaden bowiem z młodych lekarzy nie będzie czekał na ustawową „zsyłkę“ i przed odbyciem praktyki znajdzie pracę w mieście uniwersyteckim.

Ustawa zatem jak wiele innych, staje się ustawą „poronioną“, ot taki sobie platoniczny ukłon w stronę wsi.

Wiemy, że taka ustawa nie rozwiąże podjętego zagadnienia, ale może przełamie bezwład i marazm w tej dziedzinie, może ludzi zainteresuje, poczną myśleć na temat katastrofalnego stanu zdrowotnego i higienicznego wsi polskiej i kształcenia lekarzy dla wsi.

Zorganizowany świat lekarski w walce tej ośmieszył się własną argumentacją.

Oto ważniejszym okazał się dlań wyposażony warsztat pracy, pozostawiony w spuściźnie przez ojca lekarza młodemu dyplomantowi, ważniejsze dobrze „prosperujące“ wizyty i wysokie honoraria, pobierane w mieście, podczas gdy na wsi—jak twierdzą — lekarz musi głodem przymierać i niekulturalnie mieszkać. Pilniejszym przedstawił się wczesny ożenek lub zamążpójście i zakładanie podwalin własnego szczęścia rodzinnego — niż miliony cierpiących, którzy wyciągają ręce i wołają o ratunek, niż zaszczytna filantropia Judymowa, najszlachetniejsze społecznictwo wśród ludu, niż praca nad rozwojem i wzmożeniem fizycznym najliczniejszej i najbardziej upośledzonej warstwy narodu polskiego.

Rzekomą rehabilitacją dla zwalczających ustawę ma być projekt

zgłoszony przez Związek Lekarzy R. P. ufundowania 200 stypendiów przez samorządy gminne lub powiatowe. Są już takie stypendia gminne i znamy je, niestety, tylko z kiepskiej strony.

Panowie lekarze, wasz projekt to już nie symboliczny, ale ironiczny ukłon w stronę wsi.

Pomijamy fakt, że stypendia dostaną nie chłopi, a raczej ludzie ustosunkowani.

Sens leży w chwycie zaiste perfidnym. Panowie lekarze ciągną krociowe zyski, ze swoich posad robią fortuny w Niepodległej Polsce, okupionej krwią chłopską na polu bitwy i najbeszczelniej radzą tymże chłopom żyjącym w skrajnej nędzy, utrzymującym z podatków istniejące wydziały medyczne, aby odjęli sobie i dzieciom od ust, założyli fundusze stypendialne i wykształcili swych synów na lekarzy, jeśli chcą posiadać luksus, jakim jest lekarz na wsi. A jeśli nie, to chłop bez lekarza może gnić i zdychać.

„Najbardziej palącą obecnie kwestią jest zdecydowanie sprawy ufundowania, czy to przez powiaty czy też przez gminy stypendiów dla synów chłopskich“ — pisze w związku z tym „A.B.C.“.

Dobrodzieje, z cudzej kieszeni łaskawcy!

Ależ panowie, spokojnie, bez zapału, gdyż zachorujecie na chorobę zwaną „chłopomanią“. Przede wszystkim pytam: Któż wam w społeczeństwie powierzył rolę „takowych“ projektodawców i pozwolił dysponować cudzymi pieniędzmi? Wieś, jeśli będzie miała pieniądze, to je sama zaprojektuje i da na kształcenie swych synów. Już nieraz dawała dowody swojej ofiarności i obywatelskiej postawy.

A wy panowie? Zacznijcie od realizowania, nie uchwalania projektów.

Młodzi lekarze z O.N.R. na czele z dr. Sylwestrowiczem, znanym działaczem na terenie Związku Lekarzy R. P. tyle mówią o zbawczej roli swojej dla Polski, o posłannictwie ideowym, mają tak radykalny program wiejski, a kiedy nadeszła próba, — zabrakło tchu ideowego i męskiej odwagi pójścia na wieś.

Przecież ta wieś polska nie jest jakaś tatarska, ani wschodnia, ani taka dzika — że pierzchacie przed nią jak przed snem koszmarnym, trzeba tylko dobrej woli i trochę serca dla upośledzonych.

Ale cóż to was obchodzi, że w t. zw. Polsce „B“ przypada jeden lekarz na 26 tys. ludności, że połowa zgonów na wsi spowodowana jest brakiem leczenia, że opieka higieniczno - lekarska w szkole leży odłogiem, że najmłodsze pokolenie chłopskie choruje na suchoty, jaglicę, krzywicę, szkorbut. Rośnie takie rachityczne społeczeństwo zdechlaków, które ma być w przyszłości podstawą armii, obroną państwa.

Cóż to was obchodzi!

Ale my jednak nie załamujemy rąk. Mobilizujemy swoje siły i wyruszamy na zdobycie tego, co nam jest potrzebne.

A was martwi i straszy widmo ogromnej nieznanej wam siły, która idzie z głębokich wsi i groźnym pomrukiem okazuje swoje z was niezadowolenie. To konieczność dziejowa. Zdobędziemy wyższe uczelnie, bez waszej łaski. Wy panowie już się wykańczacie, my

obejmiemy wasze placówki, tak na wsi jak i w mieście, tego wymaga najszlachetniej pojęte dobro społeczne. Lęk wasz przez zbliżającą się konkurencję jest uzasadniony

Przyjdzie chłopski lekarz, wyrosły w nędzy, umiejący się obywać na małym, obniży usankcjonowane przez was bajońskie sumy honorariów, zdyskwalifikuje w pracy ideowej, załamie wasz autorytet w społeczeństwie. Lekarzowi - materjaliście przeciwstawi lekarza ideowca.

Tego wymaga polska racja stanu.

PRZEZ UCHO IGIELNE

Dyskusja o praktykach lekarskich na wsi odsłoniła kulisy innej sprawy. Jest to zagadnienie selekcji kandydatów, przyjmowanych na wydziały lekarskie w Polsce. Jakie kryteria tu się stosuje, jakie warunki musi spełnić kandydat zapisujący się na medycynę — trudno dociec.

Polska stoi dzisiaj na 16 miejscu pod względem liczebności lekarzy. Ośmiomilionowe Węgry mogą utrzymać 4 wydziały lekarskie, mała 2-milionowa Litwa buduje dla swego wydziału kliniki na 1000 łóżek, to 35-milionowy naród powinien mieć nie 5, ale znacznie więcej wydziałów lekarskich.

Polska posiada 12 tys. lekarzy, by obsadzić najważniejsze istniejące stanowiska potrzeba jeszcze przynajmniej 6 tys. lekarzy.

Czy zadał sobie ktoś na tyle trudu, aby zanalizować przyczyny, dlaczego 5 wydziałów lekarskich, istniejących przy pięciu uniwersytetach w Polsce produkuje tylko 400 lekarzy rocznie? Wszak napływ kandydatów do szkół lekarskich jest olbrzymi. W ubiegłym roku szkolnym zgłosiło się ich przeszło 2 tysiące, a przyjęto tylko 658 osób. Liczby te świadczą, że młodzież nasza jest uspołeczniona i nie obawia się rzekomo małych zarobków. Lecz młodzieży tego typu trudno jest przecisnąć się przez „ucho igielne" „metod", kwalifikujących ją na wydziały lekarskie.

Na medycynie najwięcej jest synów lekarzy. Zawód ten staje się dziedziczny, przechodzi z ojca na syna, z pokolenia na pokolenie. Stąd medycyna jest wydziałem klasowym, lecznictwo w Polsce nastawione na miasto, a przemysł farmaceutyczny, będący często pod wpływem lekarzy narzuca swoje „bleufowe" środki lecznicze, których ceny propaganda „śrubuje" nieproporcjonalnie do możliwości płatniczych chłopa.

Katastrofalny stan zdrowotny społeczeństwa, brak lekarzy nie przeszkadza namiętnemu zwalczaniu projektu Akademii Lekarskiej w Łodzi. Bo to dla świata lekarskiego zbyt groźny konkurent, a przy tym łódzkie środowisko demokratyczne nie pozwoli u siebie przeprowadzić „numerus clausus", praktykowany na wszystkich istniejących wydziałach lekarskich nie tyle w stosunku do Żydów, ile w stosunku do chłopów i robotników.

Jako przykład niechaj nam posłuży wydział lekarski przy U. J. P.

Obecnie na pierwszym roku jest 183 słuchaczy, w tym 65 podchorążych ze szkoły sanitarnej. Wśród pozostałych 118 słuchaczy

jest 19 Żydów. O studentach pochodzenia chłopskiego statystyka milczy. Czyżby ich wcale nie było?

Nieoficjalnie wiemy, że było kilku kandydatów ze środowisk chłopskich. Prawie wszyscy odpadli, mimo iż niektórzy po raz drugi przystąpili do egzaminów. Przez „ucho igielne" przecisnął się jeden kandydat dzięki oficjalnemu wystąpieniu C. Z. M. W.

Protekcjonizm to atrybut generalnie stosowany przy selekcjonowaniu kandydatów. Podobno chętniej rozmawiano z tymi, którzy posiadali listy polecające. Pomijano przeto „nieustosunkowanych" synów chłopskich.

Nie przyjmowanie na wydziały medyczne synów chłopskich — w obliczu potrzeb wsi i procentowego udziału chłopów w Polsce — jest dla społeczeństwa czymś kompromitującym.

Panowie, stawiacie przecież na odżydzenie wyższych uczelni. Jakże to zrobicie? Żydzi was zawsze pokonają, bo potrafią żyć za grosze, a wy chcecie posiadać fortuny. Wpuśćcie chłopów do audytoriów uniwersyteckich, oni jedynie potrafiliby Żydów zwyciężyć, gdyż wyrośli z nędzy i umieją żyć w najcięższych warunkach życiowych. Uniknęlibyście również stwarzania fikcyjnych ustaw, które burżuazji mieszczańskiej narzucają przymus „zsyłki" na wieś. Wykształcony chłop - lekarz, inżynier, handlowiec — wróci na wieś, bo ją kocha i będzie dla niej pracował. Lecz my was podejrzewamy, panowie, że jednakowo boicie się Żydów jak i chłopów i jednakowo ich zwalczacie.

Podobno niepowszednią rolę w przyjmowaniu na medycynę odgrywają pieniądze. Pan dr. Włodzimierz Sylwestrowicz z O. N. R. w poufnej rozmowie oświadczył wręcz: „Chcąc się dostać na medycynę trzeba być podobnym do Żyda, oraz mieć pieniądze". Domyślamy się, iż w tych słowach kryje się pewna interesowność ludzi „obrotnych".

Wydziały medyczne w Polsce nie zdają sobie sprawy ze swojej roli społecznej w państwie, bezmyślnie produkują dyplomy doktorskie z uprzywilejowaniem synów kapitalistów żydowskich, wysokich urzędników i lekarzy.

Elita lekarska obawia się widocznie, aby do zawodu lekarskiego nie wchodził chłopski element ideowy, który przez swoją działalność społeczną w ośrodkach i spółdzielniach zdrowia na wsi pocznie dyskwalifikować stanowisko wybitnie materialistyczne dzisiejszego lekarza.

Chłop, po znachorach wożący swoje dzieci, musi negować ustrój, który stwarza tego rodzaju dysproporcje.

I w odpowiedniej chwili zapamięta, że w Ojczyźnie, którą własną piersią przed wrogiem osłonił — na wyższych uczelniach stosuje się przeciwko niemu „numerus clausus"!

POWOLI, MOPANKU

Wieś stała się jednym wielkim targowiskiem. O wpływy na masy chłopskie kruszą kopie czołowi leaderzy takich czy innych ugrupowań politycznych. Ostatnio nawet reakcja z terenu Wielkopolski zapuszcza swoje macki na wieś, lansując myśl utworzenia

wielkiego dziennika ludowego zamiast obecnie wychodzącego dwa razy w tygodniu „Rolnika Polskiego" pod redakcją niejakiego Józefa Rączkowskiego. Wieś polska doczeka się wreszcie swego trybuna i apostoła.

— Zachciało się waszeci — dla sportu czy dla forsy — handlować ludem głupim i ciemnym? Wyleczy się pan jeszcze z tej „wsiowej" choroby. Chociaż nigdy ludzie nie będą mieli z pana pociechy. Chce pan pracować dla wsi, podobnie jak pana dziady — pradziady, tylko że oni batem zaganiali oporny ludek do wysługiwania się swoim herbom. Pan zaś Orfeuszem ludu chce być, bajdy mu pleść, kołysaniem usypiać. To piękne, panie redaktorze, przy tym rozczulająco naiwne. Takim ogromnym afektem zapłonął pan do wsi. I na łamach swojego dziennika chciałby ją reformować, ulepszać, cywilizować, bo przecież ta wieś jest taka dzika, zacofana, zabita...

Ale udzielmy Panu głosu:

„Panuje u nas wielkie zacofanie w dziedzinie oświaty. Na kilkudziesięciu gospodarzy we wsi zaledwie kilku otrzymuje jaką taką gazetę. Książki czy broszury o tematach rolniczych traktowane są obojętnie lub wręcz wrogo. Młody rolnik, niegdyś chodzący do szkoły, latami nie trzyma ołówka w ręku, uważając go za narzędzie wyłącznie biurokratyczne, a potrzebne do robienia omyłek ze szkodą dla rolnika. Kursy czy wykłady nazywa się zbytecznym marnowaniem pieniędzy".

„...skłonny jest (rolnik) do fantazjowania, niechętnie pracuje w gospodarstwie, uważa swój warsztat za przykrą konieczność; pług, bronę czy kosę poprostu nienawidzi. Widzi się dziewczęta wiejskie, cały tydzień pracujące, które w niedzielę, zamiast spędzić czas z pożytkiem dla siebie czy drugich, marnują go, wałęsając się malowane, pudrowane, z przesadą i tandetnie ubrane".

Zadziwiająca i specyficzna znajomość wsi. Co za głębia myśli i jakie oryginalne podejście, wniknięcie w ducha i istotę wsi. Ależ główka z pana. Powinien pan zajmować się socjologią. Jedno pytanie, miły redaktorze: czy nie słyszał pan czasem o Ruchu Młodowiejskim, o Kółkach Rolniczych, uniwersytetach ludowych, pracy w tysiącach Kół Młodzieży Wiejskiej? Nikt panu nie mówił o odradzaniu się wsi polskiej? A szkoda, doprawdy. I jeszcze jedno, ostatnie: niech się pan przyzna, redaktorze, nikt nie słyszy: czy był pan kiedy na wsi? Mnie się zdaje, że to tak samo, jakby zapytać: był pan na Marsie?

Poprostu taka mała nauka: nie pchać się gwałtem tam, gdzie kogoś nie proszą.

Życie organizacyjne

IDEA POMOCY I WSPÓŁDZIAŁANIA

Energia społeczna młodzieży akademickiej chłopskiej jest w dzisiejszej rzeczywistości zbyt cenna, aby można ją było pozostawić własnemu losowi, bez organizowania i przekształcania w źródło zasadniczych zmian życia publicznego Polski.

Krótkowzroczna „gospodarka“ młodzieżowa partyj politycznych deprawowała przez długi szereg lat środowisko akademickie. Wciąganie zapalnego elementu do bieżących rozgrywek rozpolitykowało i wyjałowiło je całkowicie. Zamiast stworzyć warunki dla spokojnej pracy naukowej, zamiast otoczyć opieką teren akademicki — partie rozpoczęły brutalny targ o każde młodzieńcze serce, o każde zdrowe gardło i silną pięść.

Młodzież chłopska razem z innymi szła na wysługi partyjnym celom. Taki stan rzeczy nie mógł trwać dłużej. Trzeba było stworzyć ośrodek niezależnej myśli chłopskiej, który by krystalizował naokoło siebie co wartościowsze i co odpowiedzialniejsze elementy młodzieży akademickiej.

Rozwój Akademickiego Koła Młodej Wsi potwierdza w całej rozciągłości tę prawdę. Idea odrodzenia życia w Polsce i oparcia go na pierwiastkach chłopskich tworzy w naszym kole cement, który spaja i jednoczy członków. I to jest istotą moralnej opieki Koła nad swoimi członkami. Idea misji chłopów w życiu narodu nie pozwala spłycać życia akademickiego, nie pozwala wykolejać się młodzieży, chroni przed oportunizmem i wysferzaniu. Siła idei leży w stopniu jej realizowania. Wyjazdy w teren do Kół Mł. W., współpraca z braćmi w tworzeniu szerokiego światopoglądu młodej wsi, walka o prawa i zmianę stanu gospodarczego wsi wychowują nowy typ polskiego akademika.

Młodego chłopa od wyższej uczelni odstrasza stan majątkowy. Ogromna różnica w środkach materialnych między wsią a miastem zamyka mu drogę do źródeł nauki, jak zamyka całej wsi perspektywę awansu społecznego. AKMW. — od czasu swego powstania walczy o stworzenie dla swoich członków takich warunków, które by pozwoliły na prowadzenie normalnych studiów. Chodzi tu o mieszkanie, utrzymanie i pracę zarobkową. Większość członków AKMW. skupia się w Fundacji Domów Akademickich im. Gabriela Narutowicza, gdzie w myśl regulaminu tych domów wykazującym się świadectwem niezamożności przysługują zwrotne stypendia mieszkaniowe i żywnościowe. Są one przyznawane w wysokości do 20 zł. za mieszkanie i 15 bonów obiadowych miesięcznie. Jest to pomoc wydatna, choć niewystarczająca

AKMW., chcąc skuteczniej rozwiązać zagadnienie stanu materialnego swoich członków, organizuje w rb. bezprocentową kasę pożyczkową i powołuje do życia pośrednictwo pracy. Specjalna sekcja będzie badać możliwości znalezienia przez akademika - chłopa środków utrzymania w pracy zarobkowej. Jeżeli praca tej sekcji da pomyślny wynik, na uczelnie warszawskie będzie mógł przyjść nowy zastęp chłopów - maturzystów, którzy dziś boją się wyruszyć w świat po wiedzę, nie posiadając żadnych podstaw materialnych.

KURS WIEDZY SPOŁECZNEJ

W pierwszej połowie listopada rozpoczną się wykłady na Kursie Wiedzy Społecznej, zorganizowanym w roku ubiegłym przez Tow. Przodownik Wiejski dla młodzieży pochodzenia wiejskiego studiującej w Warszawie. Program Kursu przewiduje zajęcia w 2 grupach:

I. Grupa pierwsza dla początkujących, która obejmie 2 wykłady dwugodzinne tygodniowo przez cały rok akademicki.

II. W skład drugiej grupy wejdą seminaria dla tych, którzy słuchali wykładów w roku ubiegłym. Wykłady obejmą następujące zagadnienia.

1) współczesne społeczeństwo chłopskie i jego kultura (10 wykładów).

2) dzieje warstwy chłopskiej w Polsce (5 wykładów).

3) zagadnienie wsi na tle współczesnych zagadnień gospodarczych, społecznych i politycznych (15 wykładów).

Seminaria, przewidujące wykłady, dyskusje i prace pisemne, będą prowadzone przez wybitnych specjalistów i podzielone zostały na następujące grupy:

1) społeczno-gospodarcza — p. J. Marszałek;
2) społeczno-samorządowa — p. nacz. Bar.
3) historii wsi — red. Maj Kaz.
4) agronomii społecznej — inż. Kobyliński;
5) medycyny społecznej — dr. Reszczyński;
6) kulturalno-artystycznej — wiz. Cierniak J.;
7) oświaty pozaszkolnej — prez. Radwan.

Niezależnie od powyższego planu raz w miesiącu będą odbywały się wykłady razem dla wszystkich grup seminaryjnych. Wykłady będą się odbywać w świetlicy Akad. Koła Młodej Wsi — przy ul. Akademickiej 5 m. 0,1 (suteryna). Zapisy na oba stopnie Kursu przyjmuje sekretarz Kursu kol. Wójcik Jan, Akademicka 5 m. 217a/V w godz. 7—8, lub ul. Kopernika 30 m. 117.

KURS INFORMACYJNY.

Dorocznym zwyczajem Akad. Koło Młodej Wsi zorganizowało Kurs informacyjny dla Akademiczek i Akademików pochodzenia wiejskiego, studiujących na wyższych uczelniach warszawskich, którzy pragną zapisać się do A.K.M.W. Na kursie, który liczył do 120 uczestników, wygłoszono następujące referaty dyskusyjne:

1) Historia i ideologia CZMW. — kol. Gierat St.
2) Formy działania CZMW. — kol. Tyczyński R.
3) Rola inteligencji w Ruchu Młodowiejskim — kol. Maj Kaz.
4) Prace AKMW. — kol. Majchrowski M.
5) Zagadnienie prasy chłopskiej — kol. Lesiuk Fr.
6) AKMW. a inne organizacje akademickie — kol. Kultys Jan.

Uczestnicy kursu wykazali duże zainteresowanie ideologią Centralnego Związku Młodej Wsi, rozwojem i zadaniami A.K.M.W., biorąc czynny udział w pracach i dyskusjach kursu.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Kopernika 30, tel. 2-36-40.
Konto rozrachunkowe 354.

Prenumerata: rocznie 3,50 zł., półrocznie 2,— zł., numer pojedyńczy 50 gr.

Wydawca: AKADEMICKIE KOŁO MŁODEJ WSI W WARSZAWIE.

Redaktor: FRANCISZEK LESIUK.

Drukarnia Artystyczna, Warszawa, Nowy Świat 47, tel. 635-80.